

Rozdział IV
Wykorzystanie wiedzy w społeczeństwie¹

1

Na czym polega problem, który chcemy rozwiązać, gdy próbujemy skonstruować racjonalny porządek ekonomiczny? Przy pewnych dobrze znanych założeniach odpowiedź na to pytanie jest dość prosta. Jeśli posiadamy wszystkie istotne informacje, jeśli możemy przyjąć za punkt wyjścia dany system preferencji i jeśli dysponujemy pełną wiedzą na temat dostępnych środków, pozostaje nam problem czysto logiczny. Znaczy to, że odpowiedź na pytanie o najlepszy sposób wykorzystania dostępnych środków jest zawarta *implicite* w naszych założeniach. Warunki, którym musi odpowiadać rozwiązanie tego problemu optymalizacji, zostały dokładnie obliczone i można je najlepiej sformułować w postaci matematycznej: w najzwęższym ujęciu - krańcowe stopy substytucji pomiędzy dowolnymi dwoma towarami czy czynnikami produkcji muszą być takie same dla każdego z różnych sposobów ich wykorzystania.

Zdecydowanie jednak nie jest to ten problem ekonomiczny, przed którym staje społeczeństwo. Ponadto, rachunek ekonomiczny, który wypracowaliśmy w celu rozwiązania tego logicznego problemu, choć stanowi ważny krok w kierunku rozwiązania ekonomicznego problemu społeczeństwa, nie zapewnia dlań odpowiedzi. Wynika to stąd, że „dane” stanowiące punkt wyjścia rachunku ekonomicznego nigdy w przypadku całego społeczeństwa nie są „dane” pojedynczemu umysłowi, który mógłby odkryć ich implikacje – i nigdy nie mogą być w ten sposób dane.

Szczególny charakter problemu racjonalnego porządku ekonomicznego wynika właśnie z faktu, że wiedza o warunkach, z której musimy korzystać, nigdy nie występuje w postaci skoncentrowanej czy zintegrowanej, lecz wyłącznie w formie rozproszonych okruszków niepełnej i często sprzecznej wiedzy posiadanej przez wszystkie z osobna jednostki. Ekonomiczny problem społeczeństwa nie dotyczy zatem po prostu alokacji „danych” zasobów – jeśli słowo „danych” ma znaczyć: danych jednemu umysłowi świadomie rozwiązującemu problem stawiany przez te dane. Jest to raczej problem zapewnienia najlepszego wykorzystania zasobów znanych każdemu spośród członków społeczeństwa

¹ Przedrukowane z „American Economic Review”, t. XXXV, nr 4, wrzesień 1945, s.519-530.

w celach, których względne znaczenia jemu tylko są znane. Krótko mówiąc, jest to problem wykorzystania wiedzy, która w całej swej pełni nikomu nie jest dana.

Obawiam się, że wiele ostatnich udoskonaleń teorii ekonomicznej, a zwłaszcza liczne zastosowania metod matematycznych raczej zaciemniły, niż rozjaśniły ten charakter naszego zasadniczego problemu. Choć w rozprawie tej chcę się zająć przede wszystkim sprawą racjonalnej organizacji ekonomicznej, w toku wywodów będę wciąż na nowo podejmowała zagadnienie jej ścisłych związków z pewnymi kwestiami metodologicznymi. Wiele spośród moich tez będzie w istocie konkluzjami, w których nieoczekiwanie zbiegają się różne linie rozumowania. Jak jednak obecnie widzę to zagadnienie, nie jest to sprawa przypadku. Wydaje mi się, że wiele obecnych dyskusji na temat zarówno teorii ekonomicznej, jak i polityki gospodarczej ma wspólne źródło w błędnym spojrzeniu na naturę ekonomicznego problemu społeczeństwa. To zaś nieporozumienie wynika z kolei z błędnego przeniesienia na zjawiska społeczne nawyków myślowych, które wykształciliśmy w sobie, zajmując się zjawiskami natury.

2

W języku potocznym słowa „planowanie” używamy na określenie kompleksu powiązanych ze sobą decyzji dotyczących alokacji dostępnych nam zasobów. W tym sensie cała działalność gospodarcza jest planowaniem; w każdym zaś społeczeństwie, w którym współpracuje ze sobą wielu ludzi, planowanie to, ktokolwiek się nim zajmuje, opiera się w pewnej mierze na wiedzy początkowo danej nie planiście, lecz komuś innemu, kto w jakiś sposób musi mu ją przekazać. Te rozmaite sposoby służące ludziom do przekazywania wiedzy, na której opierają oni swoje plany, stanowią zasadnicze zagadnienie każdej teorii wyjaśniającej proces ekonomiczny; problem zaś, jaki jest najlepszy sposób wykorzystania wiedzy rozproszonej początkowo pomiędzy wszystkich członków społeczeństwa, jest co najmniej jednym z głównych problemów polityki gospodarczej – czy też zaprojektowania wydajnego systemu ekonomicznego.

Odpowiedź na to pytanie jest ściśle związana z inną wyłaniającą się tu kwestią: kto ma zajmować się planowaniem. Wokół niej właśnie koncentruje się cała debata na temat „planowania gospodarczego”. Nie dotyczy ona tego, czy należy planować, czy też nie. Chodzi w niej o to, czy planowanie ma być centralne, czy planować ma jeden podmiot sprawujący władzę nad całym systemem ekonomicznym, czy też ma być podzielone pomiędzy wiele jednostek. Planowanie w tym specyficznym sensie, w jakim termin ten jest stosowany we współczesnym sporze, z konieczności oznacza planowanie centralne – kierowanie całym

systemem ekonomicznym wedle jednego zunifikowanego planu. Konkurencja z kolei oznacza planowanie zdecentralizowane, stanowiące dzieło wielu odrębnych osób. W połowie drogi pomiędzy tymi skrajnościami znajduje się rozwiązanie, o którym wielu ludzi mówi, lecz nieliczni tylko chwalą, jeśli mają okazję poznać je z doświadczenia – przekazanie planowania zorganizowanym branżom gospodarki, innymi słowy: monopolom.

Który z tych systemów daje szansę większej efektywności – zależy głównie od tego, po którym z nich możemy się spodziewać pełniejszego wykorzystania posiadanej przez ludzi wiedzy. To zaś z kolei jest uwarunkowane tym, czy bardziej prawdopodobne jest, że uda się do dyspozycji jednej władzy centralnej oddać całą wiedzę rozproszoną początkowo pomiędzy wiele różnych jednostek, którą władza ta powinna wykorzystać, czy też łatwiej jest przekazać taką dodatkową wiedzę tym jednostkom (zgodnie z ich zapotrzebowaniem), aby umożliwić im dopasowanie swych planów do planów innych.

3

Od razu staje się oczywiste, że sytuacja zależy tu od tego, z jakiego rodzaju wiedzą mamy do czynienia. Odpowiedź na nasze pytanie wiąże się zatem w znacznej mierze z kwestią względnego znaczenia różnych rodzajów wiedzy – tej, która z większym prawdopodobieństwem znajduje się w dyspozycji poszczególnych jednostek, oraz tej, co do której możemy raczej oczekiwać, że znajdzie się w posiadaniu władzy złożonej z odpowiednio dobranych ekspertów. Jeśli obecnie tak powszechnie zakłada się, iż ważniejsza jest ta druga wiedza, to dzieje się tak z tego powodu, że jeden rodzaj wiedzy – mianowicie wiedza naukowa – zajmuje dziś w wyobraźni publicznej miejsce tak wyróżnione, iż mamy skłonność zapominać, że nie jest to jedyny jej istotny rodzaj. Można przyznać, że w przypadku wiedzy naukowej zespół odpowiednio wybranych ekspertów byłby w lepszej sytuacji, by ogarnąć całą dostępną wiedzę – choć oznacza to po prostu przeniesienie trudności na problem wyboru ekspertów. Chcę jednak wskazać, że nawet zakładając, iż sprawa ta jest łatwa do rozwiązania, stanowi ona tylko drobną część problemu szerszego.

W dzisiejszych czasach sugestia, że wiedza naukowa nie jest sumą wszelkiej wiedzy, brzmi niemal jak herezja. Już nawet chwila refleksji pokazuje jednak, że ponad wszelką wątpliwość istnieje również korpus bardzo ważnej, choć nie zorganizowanej wiedzy, którą nie można nazwać nauką w sensie wiedzy ogólnych reguł: jest to wiedza o konkretnych okolicznościach danego czasu i miejsca. Ze względu na tę właśnie wiedzę każda właściwie jednostka ma pewną przewagę nad wszystkimi innymi, ponieważ posiada jedyne w swoim rodzaju informacje, które można z powodzeniem wykorzystać – pod tym

wszakże warunkiem, że zależne od tych informacji decyzje będą pozostawione tej jednostce lub też podejmowane z jej aktywnym współudziałem. Wystarczy, jeśli przypomnimy sobie, ile musieliśmy nauczyć się (w dowolnym zawodzie) po ukończeniu szkolenia teoretycznego, jak wielką część życia zawodowego spędzamy na nauce wykonywania poszczególnych zadań i jak wartościowym atutem w całej drodze przez życie jest dla nas wiedza o ludziach, lokalnych warunkach i konkretnych okolicznościach. Wiedzieć o istnieniu nie w pełni wykorzystanej maszyny i uruchomić ją, lepiej wykorzystać czyjeś umiejętności, mieć informacje o dodatkowych zapasach, z których można zaczerpnąć w okresach zakłóceń podaży – wszystko to ze społecznego punktu widzenia jest równie użyteczne jak znajomość lepszych alternatywnych technik. Spedytor zarabiający na życie dzięki wykorzystaniu rejsów pustych lub nie w pełni załadowanych trampów, agent nieruchomości, którego wiedza niemal bez reszty ogranicza się do znajomości przemijających okazji, arbitrażysta czerpiący zyski z lokalnych różnic cen towarów – wszyscy oni spełniają jednoznacznie użyteczne funkcje, opierając się na wyspecjalizowanej wiedzy o nieznanych innym ludziom okolicznościach towarzyszących konkretnej ulotnej chwili.

Zdumiewający jest fakt, że tego rodzaju wiedza jest dziś powszechnie traktowana z pewnego rodzaju pogardą i że każdy, kto dzięki niej uzyskuje jakąś przewagę nad kimś lepiej wyposażonym w wiedzę teoretyczną czy techniczną, jest niemal podejrzewany o niegodziwe postępowanie. Wykorzystanie lepszej wiedzy o środkach komunikacji czy transportu jest niekiedy uważane wręcz za nieuczciwość, choć dla społeczeństwa ich możliwie najlepsze spożytkowanie jest sprawą równie ważną jak zastosowanie najnowszych odkryć naukowych. Przesąd ten w istotnej mierze wpłynął na różnicę pomiędzy stosunkiem do handlu w ogólności a postawą wobec produkcji. Nawet ekonomiści uważający się za całkowicie odpornych na tak grube materialistyczne błędy przeszłości stale popełniają tę samą omyłkę w kwestiach nabywania tej praktycznej wiedzy – najwyraźniej dlatego, że w ich schematach myślowych zakłada się o niej, iż jest „dana”. Jest dziś, jak się wydaje, powszechnie przyjęte, że cała taka wiedza na mocy oczywistości jest łatwo dostępna wszystkim, a zarzut irracjonalności, jaki podnosi się pod adresem aktualnego porządku ekonomicznego, często opiera się na spostrzeżeniu, że w rzeczywistości wcale tak nie jest. Lekceważy się przy tym fakt, że znalezienie metody, dzięki której wiedza ta stałaby się możliwie jak najszerszej dostępna, stanowi właśnie problem, dla którego szukamy rozwiązania.

Modne dziś minimalizowanie znaczenia wiedzy o konkretnych okolicznościach czasu i miejsca jest ściśle związane z mniejszym znaczeniem, jakie przypisuje się obecnie zmianie jako takiej. W nielicznych tylko punktach założenia przyjmowane (zwykle tylko *implicite*) przez „planistów” różnią się od założeń ich oponentów tak bardzo, jak w sprawie znaczenia i częstości zmian wymuszających istotne odchylenia od planów produkcji. Gdyby można było z góry przyjąć szczegółowe plany ekonomiczne na dość długie okresy, a następnie ściśle się ich trzymać, by nie były konieczne żadne dalsze istotne decyzje ekonomiczne, to oczywiście zadanie nakreślenia pełnego planu rządzącego całą aktywnością ekonomiczną nie byłoby tak ogromne.

Warto być może podkreślić, że problemy ekonomiczne pojawiają się zawsze (i wyłącznie) w konsekwencji zmiany. Dopóki sprawy mają się tak, jak miały się dotychczas, lub przynajmniej tego się oczekuje, nie pojawiają się żadne nowe problemy wymagające rozstrzygnięcia, nie zachodzi potrzeba sporządzania nowego planu. Przekonania, że zmiany, a w każdym razie codzienne korekty planów, stały się współcześnie sprawą mniej ważną, pociąga za sobą twierdzenie, iż również problemy ekonomiczne straciły na znaczeniu. Z tego więc powodu przekonanie o malejącej wadze zmiany żywią zazwyczaj ci sami ludzie, którzy twierdzą, że znaczenie czynników ekonomicznych zostało zepchnięte na drugi plan przez rosnącą doniosłość wiedzy technicznej.

Czy rzeczywiście jest tak, że wyrafinowany aparat współczesnej produkcji sprawia, iż decyzje ekonomiczne trzeba podejmować tylko w dużych odstępach czasu, na przykład przy wznoszeniu nowej fabryki czy rozpoczynaniu produkcji? Czy rzeczywiście jest tak, że z chwilą wybudowania zakładu produkcyjnego pozostają już tylko zadania bardziej lub mniej mechaniczne, określone przez charakter tego zakładu i pozostawiające niewiele spraw, które trzeba będzie zmienić w toku przystosowywania do stale zmieniających się okoliczności chwili?

To szeroko rozpowszechnione przekonanie nie jest, przynajmniej według mojej oceny, potwierdzane przez praktykę biznesmena. W każdym razie w konkurencyjnej gałęzi przemysłu – która sama może służyć nam jako probierz – zadanie powstrzymania wzrostu kosztów wymaga ciągłych starań pochłaniających większą część energii menedżera. Łatwość, z jaką nieudolnemu menedżerowi przychodzi zmarnowanie marż, na których opiera się rentowność, możliwość produkowania, przy użyciu tych samych urządzeń technicznych, po całkiem różnych cenach – wszystko to są truizmy codziennego doświadczenia w działalności gospodarczej, wydaje się jednak, że naukowcy-ekonomiści nie są z nimi równie oswojeni jak

przedsiębiorcy. Sama siła pragnienia, stale wyrażanego przez producentów i inżynierów, by wolno im było produkować bez ograniczeń narzucanych im przez koszty pieniężne, jest wymownym świadectwem mocy, z jaką czynnik ten oddziaływa na ich codzienną pracę.

Jednym z powodów, dla których ekonomiści są coraz częściej skłonni zapominać o stałych niewielkich zmianach składających się na cały obraz gospodarki, jest przypuszczalnie ich wciąż wzrastające zaabsorbowanie agregatami statystycznymi, wykazującymi znacznie większą stabilność niż zjawiska szczegółowe. Względnej stabilności tych agregatów nie można jednak tłumaczyć – do czego, jak się wydaje, skłaniają się niekiedy statystycy – „prawem wielkich liczb” czy wzajemnym kompensowaniem się zmian przypadkowych. Liczba elementów, którymi musimy się zajmować, nie jest dostatecznie wielka, by takie czynniki przypadkowe prowadziły do stabilności. Stały przepływ dóbr i usług jest podtrzymywany ciągłymi świadomymi korektami, nowymi dyspozycjami wydawanymi co dzień w związku z okolicznościami, które dzień wcześniej nie były znane, tym, że przedsiębiorca B wkracza natychmiast w sytuacji, gdy przedsiębiorcy A nie udało się zapewnić dostawy. Nawet wielki i zmechanizowany zakład produkcyjny kontynuuje działanie przede wszystkim dzięki otoczeniu, z którego może czerpać środki zaspokajające wszelkiego rodzaju nieoczekiwane potrzeby: dachówki na dach, papier firmowy, formularze – czy też całe tysiące i jeden elementów wyposażenia, pod względem których nie może być samowystarczalny, a które w planach działalności zakładu uważa się za łatwo dostępne za pośrednictwem rynku.

Powinienem być może w tym miejscu krótko wspomnieć, że taka wiedza, o jakiej właśnie mówiłem, ze swej istoty nie może podlegać statystyce, toteż nie da się jej przekazywać w postaci statystycznej jakiejś centralnej władzy. Dane statystyczne, jakimi musiałaby się posługiwać taka centralna władza, trzeba byłoby uzyskiwać właśnie poprzez abstrahowanie od pomniejszych różnic, poprzez łączenie ze sobą w jedną kategorię zasobów pozycji zróżnicowanych pod względem umiejscowienia, jakości i innych szczegółów w sposób, który mógłby być bardzo istotny dla konkretnych decyzji. Wynika stąd, że planowanie centralne oparte na informacjach statystycznych ze swej istoty nie może bezpośrednio uwzględniać okoliczności czasu i miejsca, toteż centralny planista będzie musiał znaleźć taki czy inny sposób, by zależne od nich decyzje dało się pozostawić komuś „na miejscu”.

Skoro możemy się zgodzić, że problem ekonomiczny społeczeństwa dotyczy głównie szybkiej adaptacji do zmian zachodzących w konkretnych okolicznościach czasu i miejsca, wydawałoby się, iż wynika stąd, że ostateczne decyzje trzeba pozostawić ludziom najlepiej zaznajomionym z tymi okolicznościami, bezpośrednio znającym istotne zmiany oraz zasoby umożliwiające natychmiastowe dostosowanie się do nich. Nie możemy spodziewać się, że problem ten zostanie rozwiązany poprzez przekazanie całej tej wiedzy centralnej radzie, która po jej zintegrowaniu wyda odpowiednie nakazy. Musimy posłużyć się jakąś formą decentralizacji. Jest to jednak tylko częściowe rozwiązanie naszego problemu. Potrzebujemy decentralizacji dlatego, że tylko w ten sposób możemy zapewnić natychmiastowe wykorzystanie wiedzy o konkretnych okolicznościach czasu i miejsca. Lecz 'ktoś na miejscu' nie może podejmować decyzji wyłącznie na podstawie ograniczonej, choć gruntownej wiedzy o swym bezpośrednim otoczeniu. Wciąż pozostaje problem przekazywania mu dalszych informacji, których potrzebuje, by dostosować swe decyzje do ogólnego schematu zmian szerszego systemu ekonomicznego. Ile wiedzy rzeczywiście mu potrzeba, by udało mu się tego dokonać? Które ze zdarzeń zachodzących poza horyzontem jego bezpośredniej wiedzy są istotne dla jego decyzji, o ilu z nich powinien wiedzieć?

Wszystko właściwie, co dzieje się w świecie, mogłoby mieć wpływ na decyzje, które powinien podjąć. Nie musi on jednak wiedzieć o wszystkich tych zdarzeniach jako takich ani też znać wszystkich ich skutków. Nie jest dla niego ważne, dlaczego w jakimś konkretnym momencie istnieje większe zapotrzebowanie na śruby takiej, a nie innej wielkości, dlaczego torby papierowe są łatwiej dostępne niż płócienné czy też dlaczego wykwalifikowani pracownicy lub jakiegoś rodzaju obrabiarki stały się w danej chwili trudniej osiągalne. Istotne dla niego jest wyłącznie to, o ile łatwiejsze lub o ile trudniejsze stało się ich uzyskanie w porównaniu z innymi rzeczami, którymi również jest zainteresowany, albo o ile mniej lub bardziej pilne stało się zapotrzebowanie na rzeczy, które produkuje lub z których korzysta. Jest to zawsze kwestia względnego znaczenia różnych rzeczy, którymi jest zainteresowany, przyczyny zaś zmiany ich względnego znaczenia są dla niego interesujące o tyle tylko, o ile wpływają na konkretne rzeczy w jego bezpośrednim otoczeniu.

W tym kontekście to, co nazwałem „rachunkiem ekonomicznym” (czyli „czysta logika wyboru”), pomaga nam – przynajmniej przez analogię – dostrzec możliwość rozwiązania naszego problemu, a w istocie nawet samo jego rozwiązanie w postaci systemu cen. Nawet jeden kontrolujący umysł posiadający wszystkie dane dotyczące jakiegoś małego,

samowystarczalnego systemu ekonomicznego nie byłby w stanie za każdym razem, gdy trzeba byłoby dokonać jakichś niewielkich korekt alokacji zasobów, dokładnie prześledzić wszystkich relacji pomiędzy celami i środkami, które mogłyby ulec zmianie. Wielkim osiągnięciem czystej logiki wyboru jest w istocie to, że wykazała ona ostatecznie, iż nawet dla takiego pojedynczego umysłu jedynym sposobem rozwiązania tego typu problemu byłoby skonstruowanie i stałe wykorzystywanie stóp równoważności („wartości”, „krajcowych stóp substytucji”), to znaczy przypisanie każdemu rodzajowi ograniczonych zasobów wskaźnika numerycznego, którego nie da się wyprowadzić z żadnej własności danej rzeczy, lecz który odzwierciedla lub też skupia w sobie jej znaczenie z punktu widzenia całej struktury środków i celów. W przypadku każdej niewielkiej zmiany umysł taki musiałby rozważać jedynie ilościowe wskaźniki („wartości”) skupiające w sobie wszystkie istotne informacje, korygujące zaś kolejno te liczby, mógłby wydać nowe odpowiednie dyspozycje bez konieczności rozwiązywania całej łamigłówki *ab initio* oraz badania na każdym etapie wszystkich naraz jej rozgałęzień.

W systemie, w którym wiedza o istotnych faktach jest rozproszona pomiędzy wielu ludzi, ceny mogą zasadniczo koordynować odrębne działania różnych ludzi w taki sam sposób, jak subiektywne wartości pomagają jednostce koordynować elementy jej planu. Warto zastanowić się przez chwilę nad jakimś prostym i powszednim przykładem działania systemu cen, by zauważyć, co w istocie on zapewnia. Załóżmy, że gdzieś na świecie pojawiła się nowa możliwość wykorzystania jakiegoś surowca, na przykład cyny, albo też że zostało wyeliminowane jedno ze źródeł podaży metalu. Nie jest dla nas ważne – co trzeba podkreślić – która z tych dwóch przyczyn powoduje, że cyna staje się bardziej poszukiwana. Konsumenci cyny muszą jedynie wiedzieć, że część cyny, którą zwykle wykorzystywali, znalazła gdzie indziej bardziej zyskowne zastosowanie i że w konsekwencji muszą gospodarować nią oszczędniej. Olbrzymia większość konsumentów nie musi nawet wiedzieć, gdzie pojawiła się ta nowa, pilniejsza potrzeba lub też ze względu na jakie inne zapotrzebowanie powinni lepiej rozporządzać podażą. Jeśli tylko niektórzy z nich dowiedzą się bezpośrednio o tym nowym popycie i przerzucą nań swoje zasoby oraz jeśli z kolei ludzie świadomi powstałej w ten sposób nowej luki wypełnią ją z jeszcze innych źródeł, efekt ten będzie szybko rozprzestrzeniał się na cały system ekonomiczny, wpływając na wszystkie sposoby wykorzystania nie tylko cyny, ale także jej substytutów i substytutów tych substytutów, na podaż wszystkich rzeczy wytwarzanych z cyny, ich substytutów itd.; wszystko to zaś zachodzi bez wiedzy osób przyczyniających się do tych substytucji o tym, co było pierwotną przyczyną tych zmian. Całość ta działa jak jeden rynek nie dlatego, że któryś

z uczestników tego procesu zbadał cały ten obszar, lecz dlatego, że ograniczone jednostkowe pola widzenia uczestników rynku nakładają się na siebie w wystarczającym stopniu by istotne informacje poprzez wielu pośredników dotarły do wszystkich. Sam fakt, że istnieje tylko jedna cena na każdy towar – czy też raczej że ceny lokalne są powiązane w sposób określony przez koszty transportu itd. – prowadzi do rozwiązania, które (co jest możliwe tylko pojęciowo) mogłoby być uzyskane przez jeden umysł dysponujący wszystkimi informacjami rozproszonymi w rzeczywistości pomiędzy wielu ludzi uczestniczących w tym procesie ekonomicznym.

6

Chcąc zrozumieć rzeczywistą funkcję systemu cen, musimy ujmować go jako mechanizm przekazywania informacji. (Funkcję tę spełnia on oczywiście mniej doskonale, jeżeli ceny są usztywniane; nawet jednak w systemie cen całkowicie sztywnych siły, które w normalnych warunkach oddziaływałyby za pośrednictwem zmian cen, wciąż w poważnym zakresie dają o sobie znać poprzez zmiany innych warunków umowy kupna-sprzedaży). Najbardziej istotną cechą tego systemu jest oszczędność wykorzystania wiedzy, na której się on opiera, czyli niewielka ilość wiedzy, jaką muszą posiadać poszczególni jego uczestnicy, by byli w stanie podejmować właściwe działania. W skróconej i nieco symbolicznej formie można by powiedzieć, że przekazywane są tylko informacje najważniejsze i że są przekazywane wyłącznie osobom zainteresowanym. Określenie systemu cen jako pewnego rodzaju urządzenia do rejestracji zmiany czy też systemu telekomunikacji umożliwiającego poszczególnym producentom śledzenie ruchu nielicznych tylko informacji – podobnie jak inżynier śledzi wskazówki na kilku tarczach – w celu dostosowania działalności do zmian, o których być może nigdy nie dowiedzą się więcej, niż wynika z ruchu cen, jest nie tylko metaforą.

Dostosowania te prawdopodobnie nigdy nie są, rzecz jasna, „doskonałe” w tym sensie, w jakim ekonomiści wyobrażają to sobie w swych analizach stanu równowagi. Obawiam się jednak, że nasze teoretyczne nawyki przystępowania do tego problemu z założeniem bardziej lub mniej doskonałej wiedzy niemal wszystkich uczestników systemu gospodarczego spowodowały, iż trudno nam dostrzec rzeczywistą funkcję mechanizmu cen, i skłoniły do przyjęcia dość mylących standardów oceny jego efektywności. Jest rzeczą cudowną, że w przypadku takim, jak omawiany wcześniej niedobór jednego z surowców tysiące ludzi, których tożsamości nie dałoby się ustalić nawet po wielu miesiącach badań, bez żadnego nakazu i mimo że przyczyna tego zjawiska jest znana zaledwie garstce spośród nich, zostaje

skłonionych do oszczędniejszego wykorzystania tego materiału i wytwarzanych z niego produktów – co oznacza, że zmierzają we właściwym kierunku. Jest to wystarczająco cudowne nawet jeśli, wobec stale zachodzących w świecie zmian, nie wszyscy działają tak doskonale zgodnie, by mogli utrzymać stopy zysku na tym samym jednolitym czy „normalnym” poziomie.

Słowem „cudowny” posłużyłem się świadomie, by wyrwać czytelnika z błędnego zadowolenia, w którym często przyjmujemy działanie tego mechanizmu za samo przez się oczywiste. Jestem przekonany, że gdyby był on wynikiem świadomego ludzkiego projektu i gdyby ludzie kierujący się zmianami rozumieli, że ich decyzje mają znaczenie daleko wykraczające poza ich bezpośrednie cele, mechanizm ten byłby podziwiany jako jeden z największych tryumfów ludzkiej myśli. Jego nieszczęście jest podwójne: po pierwsze nie jest on wynikiem ludzkiego projektu, a po drugie – kierujący się nim ludzie zwykle nie wiedzą, dlaczego robią to, co robią. Ci jednak, którzy hałaśliwie domagają się „świadomego kierowania” – i którzy nie mogą uwierzyć, że coś, co rozwinęło się bez projektu (a wręcz bez zrozumienia z naszej strony) miałoby rozwiązać problemy, których nie jesteśmy w stanie rozwiązać świadomie – powinni pamiętać, że problem nasz polega właśnie na rozszerzeniu zakresu wykorzystania zasobów poza obszar, który byłby kontrolowany przez jakiś jednostkowy umysł, a zatem na tym, jak uwolnić się od potrzeby świadomej kontroli systemu oraz wprowadzić bodźce skłaniające ludzi do podejmowania właściwych działań bez konieczności wydawania im poleceń.

Problem, jaki tu napotykamy, żadną miarą nie ogranicza się do ekonomii, lecz wyłania się w związku z niemal każdym zjawiskiem o charakterze prawdziwie społecznym – w związku z językiem czy większością naszego dziedzictwa kulturowego – i jest w istocie centralnym problemem teoretycznym wszelkiej nauki. Jak w innym kontekście zauważył Alfred Whitehead: „Jest głęboko błędnym truizmem, powtarzanym we wszystkich podręcznikach i przemówieniach wszystkich wybitnych osobistości, że powinniśmy kultywować nawyk myślenia o tym, co robimy. Tymczasem rzecz ma się dokładnie na odwrót. Postęp cywilizacyjny zachodzi dzięki zwiększaniu się liczby istotnych działań, które możemy wykonywać bez myślenia o nich”. Sprawa ta ma głębokie znaczenie w dziedzinie społecznej. Stale wykorzystujemy wzory, symbole i reguły, których znaczenia nie rozumiemy i dzięki którym korzystamy z pomocy wiedzy osobiście przez nas nie posiadanej. Wypracowaliśmy te praktyki i instytucje, opierając się na nawykach i instytucjach, które okazały się skuteczne w swej własnej sferze, dzięki czemu stały się podstawą wzniesionej przez nas cywilizacji.

System cen jest właśnie jednym z tych tworów, na które natknął się człowiek, by następnie – nie rozumiejąc ich – nauczyć się je wykorzystywać (choć wciąż bardzo daleko od tego, by umiał robić z nich najlepszy użytek). Dzięki niemu stał się możliwy nie tylko podział pracy, lecz również skoordynowane wykorzystanie zasobów oparte na równie rozproszonej wiedzy. Ludzie, którzy lubią wyśmiewać wszelką sugestię, że tak właśnie miałyby wyglądać rzeczywistość, zniekształcają zwykle naszą tezę, sugerując, iż głosi ona, że jakimś cudem spontanicznie wykształcił się system takiego dokładnie rodzaju, jaki jest najlepiej dostosowany do współczesnej cywilizacji. Jest całkiem przeciwnie: człowiek był w stanie wypracować podział pracy, na którym opiera się nasza cywilizacja, ponieważ udało mu się natrafić na metodę umożliwiającą ten podział. Gdyby to się nie zdarzyło, nie jest wykluczone, że mógłby wypracować jakiś inny, całkiem odmienny typ cywilizacji, coś w rodzaju „państwa” termitów czy jeszcze coś innego, równie trudnego do wyobrażenia. Możemy jedynie powiedzieć, że nikomu jak dotąd nie udało się zaprojektować systemu alternatywnego, w którym dałoby się zachować pewne cechy systemu obecnie istniejącego, cechy drogie nawet tym, którzy najgwałtowniej go oskarżają – w szczególności zakres, w jakim jednostka może wybierać swe cele, a zatem swobodnie wykorzystywać swą wiedzę i umiejętności.

7

Pod wieloma względami dobrze się składa, że dyskusja na temat nieodzowności systemu cen dla wszelkiego rachunku ekonomicznego w złożonym społeczeństwie nie toczy się już dziś wyłącznie pomiędzy różnymi obozami politycznymi. Teza, że bez systemu cen nie moglibyśmy zachować społeczeństwa opartego na tak daleko idącym podziale pracy, jaki znamy obecnie, dwadzieścia pięć lat temu, gdy po raz pierwszy została przedstawiona przez Ludwiga von Misesa, została przyjęta chórem drwin. Dzisiaj trudności, jakie niektórym sprawia jej akceptacja, nie mają charakteru głównie politycznego, co stwarza atmosferę znacznie bardziej sprzyjającą racjonalnej dyskusji. Kiedy słyszymy, jak Lew Trocki twierdzi, że „rachunek ekonomiczny nie daje się pomyśleć bez stosunków rynkowych”, jak Oskar Lange obiecuje postawić profesorowi Misesowi pomnik w marmurowych salach przyszłej Rady Centralnego Planowania, widzimy jak profesor Abba P. Lerner na nowo odkrywa Adama Smitha i podkreśla, że istotna korzyść z systemu cen polega na skłanianiu jednostki kierującej się własnymi interesami do działania na rzecz interesu ogólnego, przekonujemy się, że różnic poglądów nie da się już sprowadzić do politycznego przesądu. Pozostaje spór

uwarunkowany najwyraźniej różnicami czysto intelektualnymi, a zwłaszcza metodologicznymi.

Dobitną ilustrację jednej z różnic metodologicznych, które mam tu na myśli, można znaleźć w stwierdzeniu zawartym w wydanej ostatnio pracy Josepha Schumpetera *Kapitalizm, socjalizm, demokracja*. Autor jest czołowym przedstawicielem ekonomistów rozpatrujących zjawiska ekonomiczne w świetle pewnej odmiany pozytywizmu. Zjawiska te jawią się więc mu jako obiektywnie dane ilości dóbr oddziałujących bezpośrednio na siebie – mogłoby się wydawać, że niemal bez jakiegokolwiek interwencji ze strony ludzkich umysłów. Tylko na tym tle mogę zrozumieć następującą (szokującą dla mnie) wypowiedź. Profesor Schumpeter twierdzi, iż możliwość racjonalnej kalkulacji wobec braku rynku na czynniki produkcji wynika dla teoretyka „z podstawowej tezy, że konsumenci wyceniając dobra konsumpcyjne (zgłaszając na nie popyt) ipso facto wyceniają również środki produkcji użyte do wytworzenia tych dóbr”.²

W sensie dosłownym twierdzenie to jest po prostu nieprawdziwe. Konsumenci nie robią nic podobnego. „Ipso facto” profesora Schumpetera znaczy przypuszczalnie, że wycena czynników produkcji jest implicite zawarta w wycenie dóbr konsumpcyjnych lub też z konieczności z niej wynika. To stwierdzenie jednak również nie jest poprawne. Wynikanie jest relacją logiczną, o której można sensownie mówić tylko w przypadku twierdzeń równocześnie obecnych w jednym i tym samym umyśle. Jest jednak oczywiste, że wartość czynników produkcji nie zależy wyłącznie od wyceny dóbr konsumpcyjnych, lecz również od warunków podaży różnych czynników produkcji. Jedynie dla umysłu, któremu wszystkie te fakty byłyby równocześnie znane, odpowiedź z konieczności wynikałaby z danych. Praktyczny problem powstaje jednak właśnie dlatego, że fakty te nigdy nie są w ten sposób dane jednemu umysłowi, i dlatego, że w konsekwencji jest rzeczą konieczną, by dla rozwiązania tego problemu można było wykorzystać wiedzę rozproszoną pomiędzy wielu ludzi.

² Joseph A. Schumpeter, *Kapitalizm, socjalizm, demokracja*, Warszawa 1995, cz.III, rozdz. XVI, s.216; przeł. Michał Rusiński. Uważam, iż prof. Schumpeter jest również prawdziwym autorem mitu, że Pareto i Barone „rozwiązali” problem rachunku socjalistycznego. Sformułowali oni jedynie (podobnie jak wielu innych) warunki, jakie musiałaby spełnić racjonalna alokacja zasobów, oraz wskazali, że odpowiadają one zasadniczo warunkom równowagi dla rynku konkurencyjnego. Jest to coś zupełnie innego niż wykazanie, w jaki sposób można by w praktyce znaleźć alokację zasobów spełniającą te warunki. Sam Pareto (od którego Barone przejął niemal wszystko, co miał do powiedzenia) nie tylko nie twierdził, że rozwiązał ten praktyczny problem, ale w istocie *explicite* przeczył, by rozwiązanie takie dało się uzyskać bez pomocy rynku; zob. jego *Manuel d'economie pure*, 1927, s. 233-234. Odpowiednie fragmenty są przytoczone w przekładzie angielskim na początku mojego artykułu *Socialist Calculation: The Competitive „Solution”*, „Economica” t. VIII, nr 26, 1940, s. 125, przedrukowanego niżej jako rozdział 9 niniejszej książki.

Tak więc problemu tego żadną miarą nie rozwiązujemy, wykazując, że wszystkie te fakty, gdyby były znane jednemu umysłowi (tak, jak wedle naszych założeń są dane obserwującemu je ekonomiście), jednoznacznie określałyby rozwiązanie; przeciwnie, musimy wykazać, jak dochodzi do tego dzięki interakcjom pomiędzy ludźmi, z których każdy posiada jedynie częściową wiedzę. Założenie, że cała wiedza jest dana jednemu umysłowi w taki sam sposób jak nam, wyjaśniającym rzeczywistość ekonomistom, jest równoznaczne z podsuwaniem problemu i lekceważeniem wszystkiego, co jest ważne i znaczące w realnym świecie.

Fakt, że ekonomista tej miary co profesor Schumpeter daje się w ten sposób złapać w pułapkę, jaką dwuznaczność terminu „dane” stanowi dla laika, trudno wytłumaczyć zwykłym błędem. Wskazuje on raczej jakiś fundamentalny błąd podejścia nawykowo lekceważącego istotny element zjawisk, z którymi musimy się uporać, mianowicie nieuchronną niedoskonałość ludzkiej wiedzy i wynikającą z niej konieczność stałego jej przekazywania i nabywania. Każda metoda, która w ostatecznym rachunku wychodzi od założenia, że ludzka wiedza odpowiada obiektywnym faktom (a tak właśnie wygląda to w przypadku większości matematycznie nastawionych ekonomistów z ich układami równań), systematycznie pomija problem, którego wyjaśnienie jest naszym głównym zadaniem. Jestem jak najdalej od twierdzenia, że analiza stanu równowagi nie ma w naszym systemie przydatnej funkcji do spełnienia. Kiedy jednak posuwa się ona do punktu, w którym skłania niektórych z naszych czołowych uczonych do błędnego przekonania, że opisywana przez nią sytuacja ma bezpośrednie znaczenie dla rozwiązania naszych praktycznych problemów, najwyższy czas przypomnieć sobie, że zupełnie nie odnosi się ona do procesu społecznego i że jest niczym więcej jak tylko pożytecznym wstępem do badań nad naszym głównym problemem.